



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Danuta Bubis-Jamiołkowska

Warszawianka

Urodziłam się w Warszawie na Pradze. Tam, gdzie przed wiekami miała miejsce słynna „rzeź Pragi”. Często z matką chodziłam oglądać skromny, drewniany krzyż, upamiętniający tę straszną zbrodnię. Niedaleko była cerkiew, o której się mówiło, że została wybudowana na miejscu Kościoła zniszczonego na skutek szturmów na mosty. Cerkiew była piękna, ale my jej nie lubiliśmy. Z drugiej strony było schronisko weteranów z 1863 roku. W Parku Praskim można było spotkać siwych staruszków w specjalnych, powstańczych czapkach – rogatywkach. Mówiono nam, że trzeba się uklonić, bo to są nasi „bohaterowie”, którzy walczyli za wolność kraju. Robiliśmy to chętnie, a oni wzruszeni częstowali nas słodyczami.

Wychowywana byłam w domu, w szkole i w kościele zgodnie z hasłem: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Rodzice, którzy zabiegali o sprawy życia codziennego, mieli czas na niezapomniane wieczorne rozmowy. Mama pamiętała czasy zaboru rosyjskiego w Warszawie, tzn. patriotyczne manifestacje, rozbrajanie Niemców, przyjazd Piłsudskiego z Magdeburga. Ojciec walczył w latach 1919-1920 na całej granicy wschodniej. Pamiętam jak z bratem starszym o 4 lata słuchaliśmy z zapartym tchem, jak ojciec otoczony musiał się przebić, walcząc na białą broń, czyli na bagnety. Nie mieściło nam się to wszystko w głowie. Czytaliśmy dużo historycznych książek i śpiewaliśmy piękne polskie piosenki – harcerskie, ludowe, żołnierskie. Nie przypuszczałam, że kiedyś będzie mi dane przeżyć kolejną straszną wojnę.

W 1939 roku miałam 9 lat. Początek był w miarę spokojny. Rodzice uspakajali nas, że to nic – otrzymamy pomoc. Pamiętam komunikaty radiowe: „Uwaga, uwaga nadchodzi...” i tu podawano zaszyfrowane liczby. Później było słycać głucho, ciężkie dudnienie bombowców. Mama uspakajała, że nasze myśliwce i artyleria przeciwlotnicza nie puszcza ich. Słycać było hałaśliwy odgłos broni. Bombowce jednak się przedzierały. Najgorszy moment to było pikowanie samolotu. To był przerażający moment. Wstrzymywałam oddech i czekałam. W tym czasie trzeba było zejść szybko do piwnicy i przeczekać nalot. W dużej kamienicy wyglądało to w ten sposób, że słycać było najpierw trzaskanie drzwiami, a później dudnienie po schodach zbiegających nerwowo do schronu mieszkańców. Niektórzy walili do sąsiadów, żeby ich zbudzić. W piwnicy w chwilach szczytu bombardowań klękaliśmy wszyscy i modliliśmy się głośno. Ciekawe, że modlili się wszyscy, nawet osoby, które głośno manifestowały, że są bezwyznaniowcy.

W tym czasie ojciec postanowił, że z domu na Pradze przeniesiemy się na Plac Teatralny do magistratu, gdzie są schrony i wyżywienie dla rodzin pracowników miasta Warszawy. Ojciec pracował w szpitalu i posiadał przepustkę. Mógł się poruszać po ulicach miasta i nas odwiedzać.

Na początku w schronie było nam zupełnie dobrze. Pomieszczenia były duże, oświetlone, posiłki nieźle. Mieliliśmy towarzystwo kuzynów – dwóch stryjecznych braci, starszych, z dużym poczuciem humoru. Wypatrzili pewną sprawę i zaangażowali w to nas, tzn. brata i mnie. Otóż zawsze na 1/2 godziny przed nalotem w naszym schronie zjawiały się dwie starsze panie z pieskiem. Skąd wiedziały, że będzie nalot? To właśnie interesowało naszych kuzynów. Może to szpiedzy? Byliśmy tak pochłonięci tą sprawą, że czas mieliśmy wypełniony. Jednak później zaczęło się piekło. Bombardowania były w dzień i w nocy. Ciągłe słyszeliśmy, że coś się pali: Teatr Wielki, Pałac Blanka, sąsiedni Kościół. Nasz schron miał jedną wadę – był bardzo akustyczny. Słysząc było warkot samolotów i detonacje bomb. Serce zamierało ze strachu.

Pewnego dnia, w piękne, słoneczne południe postanowiliśmy wyjść ze schronu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Było wyjątkowo spokojnie. W pewnym momencie nadleciały samoloty i zaatakowały właśnie teren ratusza i magistratu. Byliśmy w przejściowej bramie. Słysząc huk. Zrobiło się ciemno z kurzu i gruzu. Ja trzymałam kurczowo rękę mamy, która płakała, że brat gdzieś zginął. Obok nas stała pani, która dziwnie się zachowywała. Po prostu spazmatycznie się śmiała. Pierwszy raz w życiu widziałam, że ktoś pod wpływem strachu może się śmiać. Wieczorem wpadł do nas ojciec. Był bardzo zajęty.

Po kapitulacji Warszawy wróciliśmy do naszego mieszkania na Pragę. Idąc z rodzicami ulicami miasta byłam przerażona. Widziałam dopalające się domy i maszerujących Niemców. W mieszkaniu było ciemno. Szyby zastąpiła dykta. Było zimno i nie było co jeść. Po pewnym czasie zaczęły napływać różne wiadomości. Ciocia wyszła na chwilę z piwnicy i została ranna. Dwóch wujków w obozach wojskowych. Okazało się, że następny wuj bronił Warszawy. Został ranny w rękę i umieszczony w szpitalu. Zginął podczas bombardowania szpitala. Inny przedzierał się nocami ze wschodu...

Zaczynał się trudny okres okupacji. Rodzice postanowili za wszelką cenę nas kształcić i utrzymać w dobrej kondycji. Nie było to łatwe. Tata pracował bez przerwy w szpitalu. Mama organizowała codzienne życie w domu.

Rozpoczęliśmy nowy rok szkolny. Ja zaczęłam uczęszczać do 3-ej klasy szkoły powszechnej. Mój brat – do wymarzonego gimnazjum ogólnokształcącego. Zdążył sobie kupić wszystkie książki i je pięknie obłożyć, kiedy szkołę zamknięto. Nie wolno było się uczyć historii, geografii, literatury. Pozostały tylko szkoły zawodowe. Po naradzie rodzinnej, wbrew własnej woli, brat podjął naukę w szkole handlowej. Bardzo ładnie rysował reklamy handlowe, uczył się stenografii, pisania na maszynie. Cały czas jednak był niepokojony. Upłynęło sporo czasu, kiedy w jego klasie profesor języka niemieckiego zaczął po cichu organizować „tajne komplety”. Brat szybko się zdecydował i był szczęśliwy. Rodzice mniej. Nauka na „tajnych kompletach” wymagała ciągłej zmiany miejsca i karty pracy. Czyli ciągle bieganie po mieście, co nie było bezpieczne. Do tego doszła jeszcze praca w konspiracji, o której nic w domu nie wiedzieliśmy. Często byłam wysyłana przez brata z jakąś przesyłką. Zawsze mówił mi, żeby iść śmiało i nie bać się. Podobno miałam „anielski wyraz twarzy” i szkopom nie przyszłoby to do głowy, żeby mnie o coś podejrzewać. Do mieszkania nie wolno mi było wchodzić. Ktoś musiał na mnie czekać.

W tym czasie dał się odczuć głód w mieście. Racje żywnościowe to chleb-gлина, margaryna, marmolada z buraków. Oparciem żywnościowym dla miast stała się wieś. Ale niestety dowóz był mocno utrudniony. Nasza mama, jak wiele innych kobiet, postanowiła ratować rodzinę. Wyjeżdżała na wieś do znajomych, u których zaopatrywała się w żywność. Eskapady te trwały od końca lutego do Świąt Bożego Narodzenia. Pamiętam te okresy wyczekiwania i niepokoju. Nie były to bezpieczne wojaże. Pokonywana trasa wymagała przesiadki na węzłowej stacji w Koluszkach. Często na peronie czekała na wysiadających niemiecka żandarmeria z psami. Biada jeśli pies wywęszył coś w paczkach. Zabierali wszystko. Mama wypracowała sobie pewien niezawodny system i była z tego dumna. Stwierdziła, że trzeba być schludnie ubraną, me wolno mieć chustki na głowie, wieźć różnorodny towar – wszystkiego po trochu, tzn. oprócz jajek i masła, trochę kaszy, grochu, owoców. To się opłaciło, bo tej różnorodności nie chcieli rekwirować. Przyjeżdżała zmęczona, bo zaopatrzyć można się było na odległej wsi. Ze stacji i do stacji szła pieszo z paczkami. Trasy te wynosiły po kilkanaście kilometrów. Często potrzebna była przepustka, którą trzeba było uzyskać w innym mieście, też daleko oddalonym. Furmanką nie mogła się posługiwać bo kosztowna i bardziej zwracała uwagę okupanta. Ojciec me mógł wyręczyć mamy, bo jako mężczyzna był narażony na interwencję. To był ogromny wysiłek. Dzięki temu mogliśmy jednak jako dzieci być lepiej odżywieni i stawić czoło trudnościom okupacji.

Atmosfera w mieście była smutna. Każdy szybko przemykał się po ulicy. Natomiast Niemcy zachowywali się pewnie i hałaśliwie. Jeździli w przedniej części tramwaju. Parki i niektóre lokale były tylko dla Niemców. Ciągłe na nas krzyczeli, wyrzucając z tramwaju. Od godzinie 21 obowiązywała godzina policyjna. Wtedy wyłączano światło. Przeważnie korzystano z karbidówek. U nas, piętro wyżej, mieszkał sąsiad, który pracował w elektrowni i miał prawo do korzystania z elektryczności. Tam wieczorem gromadzili się najbliżsi sąsiedzi. W jednym dużym pokoju przygotowywało się do lekcji troje młodych ludzi ze szkoły średniej, między innymi mój brat. Przychodziła młoda sąsiadka, robiąca

na drutach oraz mój ojciec, który stale majsterkował razem z właścicielem mieszkania i wymieniał wiadomości polityczne. Ze względu na brak opału i światła siedzieliśmy przeważnie w kuchni.

Pewnego dnia, późnym wieczorem ktoś zapukał do drzwi. Był to młody sąsiad żydowskiego pochodzenia. Przyszedł z getta, żeby poprosić o trochę jedzenia dla pięcioletniej córeczki i żony. Rodzice go lubili, dali mu więc trochę żywności. On nie chciał usiąść i nic jeść. Zaraz wyszedł. Było ciemno na dworze. Wydawało się, że nikt go nie mógł widzieć. Nazajutrz, gdy byłam rano w szkole, zjawili się Niemcy z młodym cywilem – tłumaczem. Mamę wprowadzili do jednego pokoju, ojca przesłuchiowano w drugim. Pytali czy wczoraj był u nas Żyd. Rodzice chociaż oddzieleni zorientowali się, że już nie ma co ukrywać. Powiedzieli, że był, bo tu mieszkał. Otrzymali odpowiedź, że mają szczęście, bo podobnie zeznawali. W przeciwnym razie byłoby źle. Po moim powrocie ze szkoły zdenerwowani rodzice powiedzieli, że niewiele brakowało, a nie zastałabym już ich w domu. Zdziwiło nas, że znajomi – kiedyś bardzo mili i życzliwi – przestali z nami utrzymywać kontakty, bo uznali się za Niemców.

Kiedyś spotkałam koleżankę. Miała bilety do kina. Dałam się namówić. W kronice filmowej zobaczyłam groby w Katyniu. Dla mnie było to nie do pojęcia. Po powrocie do domu zwierzyłam się bratu. Spojrzał na mnie groźnie i powiedział: „To już wiemy, ale dlaczego ty poszłaś do kina. Jest takie powiedzenie «tylko świny siedzą w kinie». W ten sposób dobroiłaś Niemców” – dodał. Byłam zgnębiona. Drugi raz już odmówiłam.

Zaczynał się gorszy okres – represji i aresztowań. Docierały różne wiadomości. Aresztowano dwóch młodych ciotecznych braci i wywieziono do Oświęcimia. Później dołączyła do nich siostra. Stryjecznego brata aresztowano z bronią w ręku. Stryj ratował najmłodszego syna. Podobno znalazł pewne dojsście. Zgromadził dużą sumę pieniędzy, którą przekazał Niemcom. Ci wzięli pieniądze, ale syna nie wypuścili, bo już nie żył. Był bardzo torturowany. Aresztowany został jeszcze jeden syn stryja. To byli chłopcy, którzy pracowali w konspiracji. Natomiast znajomy był inwalidą dwudziestego roku, nie należącym do żadnej organizacji starszawym panem. W kamienicy, gdzie mieszkał znaleziono radiostację. Aresztowano wszystkich mężczyzn. Jeszcze żonie zdążył podać wiadomość, że następnego dnia raniutko wyjeżdżają. Został rozstrzelany w Palmirach.

Dni biegną w ciągłym napięciu. Ciągle coś się dzieje. Pewnego razu mój brat odwiedził zaprzyjaźnionego kolegę, który mieszkał ze starszym bratem. Chciał ich namówić do wyjścia. Jeden wyszedł, drugi został – zgodnie z życzeniem matki miał się uczyć i nie kręcić się po ulicach. Po wyjściu brata z jednym z kolegów na ulicy rozległ się strzał. Wpadli Niemcy i zabrali wszystkich podejrzanych, między innymi chłopca, który został w domu. Później okazało się, że to Niemiec wystrzelił przez pomyłkę z pobliskiego szpitala. Zakładników jednak stracono. Wiadomość podano przez megafony i na plakatach.

Po wielu latach dopiero skojarzyłam sobie, że chodząc do koleżanki mieszkającej w sąsiednim domu absolutnie nie odczuwałam, że jestem intruzem. Miała dwoje dorosłego rodzeństwa. Otwierali mi drzwi zawsze miło i z uśmiechem. Zawsze zapraszano mnie do środka. Był tam jednak ważny punkt kontaktowy. Tam po akcji (na przykład na Kutcherę) zostawiano broń, przechowywano różnych ludzi. To był trudny okres.

Znów napłynęła wiadomość, że u innego stryja w domku na peryferiach Warszawy znaleziono drukarnię. Skończyło się aresztowaniem. Brat na ulicy trafił na łapankę. Uciekł i fatalnie skręcił nogę. Uratował go nadjeżdżający tramwaj, który zwołnił i panowie wciągnęli go do środka. Wśród mieszkańców stolicy pozostaje atmosfera życzliwości i niesienia sobie wzajemnej pomocy. Dowodem może być przykład, że na wiadomość mamy lekarz z rejonu przychodził do brata, żeby go wyleczyć z tej kontuzji.

Lubiliśmy wieczory, kiedy wszyscy wracali do domu i dozorca zamykał bramę. Wydawało się nam, że to jest czas bezpieczny. Tak jednak nie było. To były „ostatki”. Mama zrobiła trochę lepszą kolację. Około godziny 22.00 słyszymy głośnie walenie do bramy. Przez okno widzimy niemieckich żołnierzy szybko biegnących na ostatnią klatkę schodową z bronią gotową do strzału. Za chwilę słyszymy strzały. Wywiązuje się walka. Jesteśmy przerażeni. Ojciec z bratem ubierają się, przygotowują dokumenty. Niemców interesował tylko jeden lokal. Całą noc nie spaliśmy. Na podwórku panował ruch. Wywożono ofiary. Rano wszystko ucichło. Kiedy zjawiłam się w szkole, wszyscy byli mocno zdziwieni, że żyję.

W 1943 roku skończyłam 7-mą klasę szkoły powszechnej. Chciałam uczyć się dalej. Dwa lata wcześniej zjawił się w mojej klasie nowy wychowawca. Młody, sympatyczny, łatwo nawiązywał kontakt z młodzieżą. Zauważyłam, że między innymi na mnie zwrócił uwagę. Wezwał mojego ojca i zaproponował dalszą naukę na tajnych kompletach. Przez całe wakacje miałam uczyć się historii i geografii. Wychowawca sam zobowiązał się nas przygotować (3 osoby z klasy). Ojciec się ucieszył, ale zapytał o koszt lekcji. Otrzymał odpowiedź – „przecież pan ma dwoje dzieci, które muszą się uczyć”.

Przez całe wakacje uczyłam się w domu naszego wychowawcy. Pamiętam, jak siedząc na oknie słuchał komunikatów podawanych przez megafony na Mariensztacie i dyktował nam przewidziany materiał.

Egzamin do gimnazjum zdawałam w podziemiach kościoła-bazyliki N.S.J. na Pradze. 1 września zaczęłam naukę w 1-szej klasie gimnazjum ogólnokształcącego pod nazwą 2 Zasadniczej Szkoły Krawieckiej. Lekcje odbywały się na ulicy Konopnickiej. Do szkoły nie wolno było przynosić żadnych

książek z historii, geografii czy literatury. Codziennie pokazywałyśmy zawartość teczek naszej wychowawczynie. Na klatce schodowej ktoś czuwał. Pamiętam jak na tablicy rysowałam kształt rzek i ich dopływów, a kropczkami oznaczałam z pamięci miasta. Atmosfera była niepowtarzalna. Obchodziliśmy wszystkie uroczystości patriotyczne. Poziom nauczania był bardzo wysoki. Tam się również wychowywała młodzież. Wychowawczynie na ogół wiedziały wszystko o każdej uczennicy (nie wiem skąd). Dwa razy w tygodniu chodziliśmy na lekcje kroju i szycia, które odbywały się w pracowni przy kościele św. Floriana. Pamiętam, że rodzice opłacali naukę, ale to nie były wysokie sumy.

Ciekawą postacią był nauczyciel śpiewu. Młody, sympatyczny, uczył nas pięknych, regionalnych piosenek polskich. W międzyczasie przygotował nas do „Pastorałki” Schillera, która grana była w szkole na ulicy Konopczyńskiego. Występowałyśmy w roli aniołów. Po cichu mówiło się, że to jest akcja na wyższe cele. Byliśmy dumne, że możemy się do tego przyczynić. Za naszym pośrednictwem obejrzały spektakl całe tłumy rodzin i znajomych. Chłopcy z tej szkoły grali pięknie spontanicznie role pastuchów. Między nami przemykali się aktorzy, którzy to reżyserowali. Nigdy potem oglądane pastorałki nie podobały mi się tak bardzo jak tamta. Na zakończenie roku śpiewaliśmy jeszcze wyuczone, piękne polskie piosenki z odpowiednim akompaniamentem. Widziałam łzy wzruszenia w oczach naszej wychowawczynie. Podeszła do młodego nauczyciela śpiewu i uściśnęła go. Tak bardzo się o nas martwiła, a sama niedługo zginęła w powstaniu.

Przez lipiec 1944 roku byłam szczęśliwa. Zdałam do 2-giej klasy, miałam dobre oceny i bardzo przyjemne wspomnienia ze szkoły. Szyłam i śpiewałam. Szczęście jednak trwało krótko. Rodzice zaniepokojeni byli sytuacją w mieście. Wszyscy się czegoś spodziewali. Pakowaliśmy paczki, suszyliśmy pieczywo, topiliśmy tłuszcz. Pewnego dnia brat niespokojny, jakby czekając na kogoś – wyszedł. Mama, poszła niedaleko do znajomych. Zostałam sama z ojcem. Po pewnym czasie usłyszeliśmy strzały na ulicy. Później wywiązała się kanonada. Ojciec błdy zrozumiał, że zaczęło się powstanie. Wzięliśmy potrzebne rzeczy i przenieśliśmy się do piwnicy. W piwnicy zebrali się już wszyscy mieszkańcy. Nie wróciliśmy już do własnych mieszkań. Żywiliśmy się sucharami i martwiliśmy się o najbliższych.

Odgłosy walki słyhać było bez przerwy. Ciągłe napływały informacje, że ważniejsze budynki i obiekty zostały opanowane przez powstańców. Cieszymy się. Później słyszymy, że Niemcy odbijają i opanowują zabrane tereny. Obok nas są dwa szpitale niemieckie, w których hitlerowcy bronią się zaciekle. Najbliższe ulice, to ulice śmierci, pokryte zabitymi. Niemcy strzelają ze wszystkich zakamarków. Opanowali mosty i nikt nie może przejść na drugą stronę Warszawy. Bramy pozamykane, mieszkańcy kryją się w piwnicach. Ciągłe ktoś przybywa z zewnątrz szukając schronienia. Czekamy na represje niemieckie.

Któregoś dnia wraca mama. Przyprowadzili ją podwórkami dwaj młodzi ludzie. Niemcy strzelają do każdego, kto się pokaże. Później zjawia się brat. Niewiele mówi. Jest bardzo zmęczony. Pamiętam jak się obudziłam w nocy. Palilo się światło. Wzrok mój padł na głowę brata. Spał siedząc. Pomyślałam, co z nami będzie, a zwłaszcza z nim? Nazajutrz wielkie poruszenie. Mężczyźni ze strychu wypatrzyli ruchy wojska na ulicach. To był 11-ty sierpnia. Po pewnym czasie słyszymy głośnie walenie do bramy. Dobiegają z chodnika głośnie nawoływania, żeby wychodzić z piwnic na ulicę. Ukrywanie się będzie surowo karane. Wychodząc brat mi szepcze, że dobrze byłoby zniszczyć pewną rzecz w naszym mieszkaniu. Najlepiej gdybym to ja zrobiła. Przemykam się szybko po schodach, wkładam paczuszkę do kuchni i zapalam. Niemcy już są w mieszkaniu. Serce mi zamiera ze strachu. Ale ich interesują tylko ludzie. Sprawdzają szafy, łóżka, hałasują, krzyczą na nas, ale do piwnic nie schodzą. Grożą nam jednak, że jeśli ktokolwiek się schowa, to będzie z nami źle. Wyprowadzili nas z pokrzykiwaniem na ulicę. Mężczyzn ustawili pod ścianą, ręce do góry, rewidują ich. My stoimy po przeciwnej stronie i musimy patrzeć. Karabiny wycelowane są w naszych najbliższych. Zamknęłam oczy i powiedziałam: „Boże, ja tego nie przeżyję”. Znajomy sąsiad nie wytrzymał nerwowo i zemdlał z wrażenia. Była to pierwsza interwencja niemiecka po działaniach powstańczych. Nie wiedzieliśmy co zamierzają. Długo nas tak straszyli. Później ustawili mężczyzn w szeregach do wymarszu, nam dali pół godziny na opuszczenie terenu. Mam opuścić Warszawę w kierunku wschodnim.

. Nadchodzi moment pożegnania, ale nikt się nie żegna, nie płacze. Ojciec bardzo błdy szeptem coś mówi do mamy. Natomiast mój 18-letni brat nadrabia miną i mówi do mnie, żeby nas pocieszyć: „nie martwcie się, będziemy uciekać”. Dodaje jeszcze – „ale weź kota – naszego pupila. On tu zdechnie z głodu, bo nie zna myszy”. Mama prosi – „trzymajcie się razem”. Niemcy nas bacznie obserwują. Za chwilę kolumna ruszyła w kierunku koszar na ul. 11-go Listopada. Długo patrzyliśmy za nimi. Widziałam obok ojca gimnazjalną czapkę brata oraz lufy karabinów wycelowane w ich plecy. Prowadzili ich jak złoczyńców we własnym kraju. Wtedy zapłakałam, czyżby to była droga na stracenie?

Musialiśmy szybko otrzeć łzy, bo inni Niemcy nas wypędzali z własnego domu. Zabrałyśmy trochę zapakowanych rzeczy, trochę sucharów, a kota włożyłam za pazuchę. Ruszyliśmy w kierunku Żabek. Przekraczając rogatki miasta natknęliśmy się na niemiecką artylerię. Jedni nas wypędzali, drudzy nie chcą wpuścić. My nie możemy nic wytłumaczyć. W pewnym momencie młody oficer spojrział na mnie, szybko podszedł i rozpiął mi kurtkę. Zobaczył przerażonego kota. Zaczął się śmiać i pozwolił szybko

przejsć. Szłyśmy z sąsiadkami i ich maleńkimi dziećmi, które niestety nie przeżyły tych koszmarnych warunków. Po drodze mama powiedziała, że musimy się pomodlić, żeby nasi bliscy przeżyli. Przypomniałam sobie, że nie wzięłam książeczki do nabożeństwa. Wędrując znalazłam porzuconą, zniszczoną książeczkę z modlitwami do Miłosierdzia Bożego. W wolnych chwilach modliłam się.

Pobyt w Ząbkach był trudny. Miejscowi ludzie uważali nas za intruzów. Dawali nam to odczuć. Postanowiłyśmy wrócić do Warszawy. Tu czekała na nas pułapka. Niemcy zaczęli zatrudniać kobiety do kopania rowów. Mama jako wysiedlona nie miała wyboru. Ja byłam za młoda, ale nie chciałam się z nią rozłączyć. Byłyśmy internowane w szkole na ulicy Otwockiej. Mama dostała się do kuchni, a ja z nią. Powiedziała, że mam być czynna, wtedy nikt nie będzie miał pretensji i zostaniemy razem. Myłam talerze, obierałam warzywa i od czasu do czasu czyściłam buty oficerom. Nadzór nad nami sprawował Niemiec, który mówił po polsku. Zauważyłam, że czasami siadał w kuchni i mnie obserwował. Byłam pewna, że sprawdza moja pracę. Wtedy zawzięcie sprzątałam, co się tylko dało.

Kiedyś zauważyłam, że patrząc na mnie wyciera łzy. Był bardzo ludzki. Pomagał mamie, gdy byłam chora. Bronił mnie, kiedy nasze współtowarzyszki niedoli zakwestionowały mój przydział papierosów – jako dziecka. Papierosy w owym czasie stanowiły towar wymienny. Później skojarzyłam sobie, że ja przypominam mu jego córkę.

Zbliżał się front rosyjski. Odczuwamy niepokój i podniecenie. Hitlerowcy postanowili zabrać nas z sobą do Niemiec. Nie miałyśmy wyboru. Wtedy zjawił się nasz niemiecki opiekun i powiedział mamie, żebyśmy były przygotowane i wieczorem będziemy mogły opuścić obóz. Mamy nic nikomu nie mówić i po cichu uciekać, gdy strażnik będzie odwrócony tyłem. Udało się. Wpadłyśmy do jakiegoś domu i prosto do piwnicy, gdzie przebywali jego mieszkańcy. Przyjęli nas bardzo życzliwie. Byli to ludzie, którzy nas dobrze rozumieli. Sami niewiele mając częstowali nas. Uważali, że mają obowiązek się nami zaopiekować. Byłam wzruszona, gdy młoda matka ugotowała kaszkę na wodzie dla swego kilkumiesięcznego synka i dla mnie. My wyjęłyśmy swoje zapasy i również częstowałyśmy. Czuliśmy się jedną rodziną. Jakże inaczej niż poza Warszawą. Razem przeżyliśmy oblężenie i wyzwolenie Pragi. Były momenty, kiedy wydawało się, że nie wyjdziemy żywi z tego schronu. Aż wśród huków, pyłu, gruzu ujrzeliśmy pierwszego polskiego żołnierza.

Co dalej? Do domu wrócić nie możemy, bo tam jest linia frontu. Schroniłyśmy się w podziemiach bazyliki, gdzie przebywało mnóstwo osób takich jak my. Spaliśmy na szkolnych ławkach, tablicach, podłodze. Przez sześć tygodni jadłam suchary i supę z kotła, ugotowaną dla biednych nieszczęśników. Była to owsianka, najpierw gotowana na zdobytym mięsie, później tylko na wodzie, a jeszcze później bez soli, bo zabrakło. Nie narzekaliśmy, bo to był nasz jedyny ciepły posiłek dawany z życzliwością. Organizował to wszystko ksiądz proboszcz. Wspaniała postać. Odprawiał dla nas nabożeństwa, modlił się z nami, ukrywał pod głównym ołtarzem AK-owców – powstańców. Wszystkich w miarę możliwości karmił. Wieczorem zjawiał się w podziemiach i pocieszał nas w trudnych chwilach i zapewniał, że ma jeszcze dużo płatków owsianych na supę.

Po 6-ciu tygodniach postanowiłyśmy pójść do znajomych na wieś (około 100 kilometrów od Warszawy). Tam miałyśmy kupić żywność, jakoś ją przewieźć i wrócić do własnego domu na linię frontową (blisko Wisły). 3 dni wędrowałam z mamą na wieś. Jak się zjawiłyśmy, zapytano nas delikatnie, czy przyjechałyśmy na niedługo. Zapewniłyśmy, że zaraz wracamy z powrotem.

W Warszawie mieszkaliśmy nie we własnym mieszkaniu na 4-tym piętrze, bo tam wpadł pocisk i była duża dziura w ścianie, ale u sąsiadów na 1-szym piętrze w kuchni od podwórka.

Na tyłach Pragi uruchomiono szkoły. To był listopad. Jeszcze były szanse nadrobienia straconego roku. Problemem było codziennie dojście do szkoły. Najtrudniejszy był odcinek na ulicy Targowej. To była martwa ulica, od czasu do czasu ostrzeliwana przez Niemców. Przechodziłam do niej podwórkami. Musiałam chwilę odczekać i szybko przebiec. Wpadałam w jakąś bramę i znów podwórkami wychodziłam do ulicy Ząbkowskiej i Radzymińskiej. Tam już był ruch i handel uliczny. W domu uczyłam się w pokoju wieloosobowym przy karbidówce.

Później Niemcy zwiększyli ostrzał Pragi. Strzelali z takich pocisków, które niszczyły kamienicę do piwnic. Pamiętam, że słychać było długo odgłos lecącego pocisku. Słuchaliśmy tylko, gdzie upadnie.

Wyzwolenie lewobrzeżnej Warszawy w styczniu 1945 roku przeżyłyśmy nie schodząc do piwnic. W dużej kamienicy było nas zaledwie kilka rodzin. Uważałyśmy, że w razie nieszczęścia nie mamy i tak żadnej szansy. Nad ranem wszystko ucichło. Warszawa była wolna. Teraz zaczęły się najgorsze chwile – oczekiwanie. Nic nie wiedziałyśmy o naszych najbliższych. Przeżyłyśmy jeszcze różne przykre chwile.

Pewnego dnia zjawiała się u nas pewna kobieta. Miała dużo adresów i informacji. Zawiadomiła nas, że ojciec wraca, a brat nie żyje. Płakałyśmy całą noc. Rano zjawiała się ta sama kobieta. Przepraszyła nas, że jednak pomyliła adresy i wiadomości. Ojciec i brat żyją. Wytarłyśmy łzy i bardzo się ucieszyłyśmy. Żyłyśmy jednak w niepewności.

Po upływie 1,5 roku wrócił ojciec z wujkiem, ale bez brata. Opowiedział nam dzieje ich niezwykłych przygód. Czasami zdawało się nam, że to fantazja, bo działo się to jak w filmie. Z koszar na ul. 11 Listopada wyjechali do twierdzy w Zakroczymiu, później do Nieporętu. Wszędzie kopią rowy i mają

bardzo złe warunki. Następnie wywożą ich do Piły i Oberhaustu, gdzie pracują na kolei fabrycznej. Ojciec na torach, a brat szepia wagony i narażony jest codziennie na wypadek. Wyżywienie jest głodowe – 20 dekagramów chleba i 2 razy dziennie rzadka zupa. Ojciec będąc z dzieckiem i widząc liczne wypadki przy szepianiu wagonów, załamuje się psychicznie. Nie może jeść, zaczyna chorować. Brat ratuje go jak może, przynosząc dobrą zupę – bo na mięsie od Serbów. Pewnego dnia dostaje polecenie wyjazdu z transportem broni na tereny zachodnie, ale bez ojca. Brat robi wszystko, żeby ojca zabrać. Nie może nawiązać kontaktu. W końcu uzyskują zgodę i wyjeżdżają razem. W środku nocy zostają zaatakowani przez samoloty alianckie. Ostrzelany pociąg zatrzymuje się. Niemcy są przygotowani i bronią się. Więźniowie opuszczają pociąg i kryją się na polach w zaroślach. Samoloty odlatują, ale atakują ponownie. Jest bardzo dużo rannych. Brat podnosi głowę z ukrycia i odczytuje napis miejscowości. Wyjmuje notes i przy świetle księżyca podaje adresy. Stwierdza, że tu w gospodarstwie pracuje wujek (brat mamy), żołnierz z 1939 roku. Brat, jako młody człowiek, chce odszukać wuja. Ojciec się boi. Nie wiedzą co robić. Niemcy nawołują więźniów do uporządkowania terenu. Brat z ojcem idą jednak do wsi. Pytając, natrafiają na pracującą tam Polkę. Odnajdują wuja, u którego nocują. Zdecydować jednak musiał gospodarz, młody człowiek zajmujący również wysokie stanowisko w urzędzie. Stwierdził, że mogą zostać. Radykalnie zmieniła się ich sytuacja. Pracowali, ale w innych warunkach. Najważniejsze, że byli dobrze traktowani i mieli co jeść. Po wyzwoleniu ojciec wrócił do kraju, a brat wstąpił do 2 Korpusu generała Andersa. Teraz po latach mogę stwierdzić, że znałam Niemców okrutnych i złych, ale wśród nich byli też dobrzy, szlachetni ludzie. Jednak nieprzewidywalne są ludzkie losy.